

KWIAT NĘDZY

POWIEŚĆ.

28

(Ciąg dalszy).

— Zbrodniarza! zbrodniarza! — jęka Zosia żałośnie. — Nie pani, nie jestem córką zbrodniarza... jestem córką uczciwego człowieka.

— Czyż ojciec twój nie dopuścił się zbrodni?

— Ojciec mój, chociaż skazany na katorgę, jest niewinnym, niewinnym, niewinnym! — szeptało dziewczę, przyciskając drżące ręce do rozpalonego czoła. — Jeśli kiedykolwiek powróci z Syberyi, pójdę za nim, dokądkolwiek się uda; dzielić z nim będę niezasłużoną hańbę i osładzać jego cierpienia!

— Zosiu!

— Och! dobrodziejko moja, tęsknić za tobą będę — mówiła gorączkowo, całując rękę księżnej — tęsknić, wspominać i żałować, zawsze czcić cię będę i zawsze będę ci wdzięczna, lecz obowiązkiem mój spełnić... bo to moja najświętsza powinność. Nie wypnę się ojca, który mnie tak bardzo kochał; stanę przy nim, żeby mu być pomocą i wsparciem... a może... może, połączeni razem, zdołamy odszukać babkę i siostrę...

— Więc o tem wszystkiem myślisz, gdy siedzisz nieraz milcząca i pogrążona w dumania? — zapytała księżna.

— Tak, księżno-pani... o tem wciąż myślę.

— Więc mnie nie kochasz... i może nigdy nie kochałaś?... Jestem dla ciebie niczem, jeśli tylko wdzięczność odczuwasz dla mnie!

— O! najdroższa pani, wdzięczność to bez granic, którą tylko śmierć moja przerwie — rzekła Zosia, podnosząc załzawione oczy w górę — wdzięczność, łącząca w sobie miłość, najgłębszy szacunek i uwielbienie dla cnót twoich i dobroci! Serce moje daje ci, szlachetna opiekunko moja, to wszystko, co dać może!

Księżna zamilkła nagle i pochylona nad robotą, zamyśliła się głęboko.

W pałacu na Smolnej, odbył się wieczorem obiad pożegnalny. Do stołu zasiedli: pani domu, Zosia, ksiądz Wielogrodzki i Filip Glenmour.

Jerzy nie zjawił się, przysłał jednak kartkę, w której usprawiedliwił swoją nieobecność konferencją z adwokatem w bardzo ważnych sprawach: w istocie zaś, posiliwszy się pośpiesznie w jednej z pierwszorzędných restauracyj, ruszył dorożką pierwszej klasy na ulicę Ordynacką, rano bowiem otrzymał list następujący:

„Kochany hrabio!

„Zaprawdę, powiadam, że od pewnego czasu szczęście mi sprzyja. Udało mi się wygrać na wyścigach parę niezłych stawek, a nadto pewnego poranka spotkałem w Saskim ogrodzie moją żonę i pogodziłem się z nią, ku wielkiej jej uciechy. Niedosć tego, przeniosłem się do zamieszkanego przez nią poddasza na trzecim piętrze, przy ulicy Ordynackiej. Racz się pofatygować dziś do nas po obiedzie na czarną kawę. Żona moja mocno się postarzała, lecz jeść gotuje wcale dobrze, a kawę przyrządza wyśmienicie. Są to przymioty, których rozsądny człowiek nie lekceważy.

Pozostają kochany hrabio twoim wiernym sługą Bogajewski.

Jerzy przebiegł szybko schody wskazanego mu już dawniej domu i zatrzymał się dopiero przed środkowymi, niskimi drzwiami na trzecim piętrze.

Usłyszawszy dzwonięcie, otworzyła mu je Franciszka.

— Czy tu mieszka pan Bogajewski?

— Tutaj. Proszę wejść — rzekła drżącym głosem.

Znany nam pokój jaśniał jak dawniej wzorową czystością i ładem, chociaż tu i owdzie na meblach leżały, lub wisiały, rozpoczęte roboty kobiece.

Bogajewski przedstawił Jerzemu żonę.

— Czy pan hrabia napije się z moim mężem czarnej kawy? — zapytała uprzejmie.

— Ma się rozumieć! — odparł niecierpliwie Bogajewski, nie dając przyjść młodemu człowiekowi do słowa. — Kawy przygotowanej rączkami jednej z trzech Gracyj, nikt nie odmawia.

Franciszka podniosła smutne oczy na męża i nie nie odpowiedziałwszy na żart bolesny i upokarzający, nalała z maszynki kawę do filiżanki, zapraszając Jerzego, żeby usiadł przy stole.

Biedna kobieta w ciągu upłynionych lat ośmiu, zmieniła się do niepoznania. Gęsta sieć zmarszczek pokryła jej gładkie przedtem czoło. Błade i dawniej wargi, poglobły jeszcze bardziej, jakby z nich krew całkiem uciekła. Czarne niegdyś włosy bie-

liły się już gdzieś przedwcześnie siwizną. Nic prawie z jej minionej piękności nie pozostało, prócz prześlicznych, dużych oczu. Malował się w nich wprawdzie niepokój i smutek, błyszczały jednak, jak i przed laty, wyrazem niewysłowionej i czarującej słodyczy.

— Ja, widzisz hrabio — mówił pasożyt tonem ironicznym — pogodziłem się z moją panią, dla której była to frajda, co się zowie. Wprawdzie drożyła się nieco z początku, lecz, jako mądra osoba, zrozumiała szybko, że prawnie ja tu jestem panem, bośmy się przecie nie rozwiedli, ani nawet wnieśli do konsystorza podania o separację. Wprawdzie puściłem ją nagle w trąbę przed kilku laty, lecz wie, że miałem potemu słuszny powód. Wdepnąłem w pewien zły interes, z którego nie było innego sposobu wywnięcia się, jak ucieczka. Ale to już historia starożytna! Niema co o niej myśleć, bo obecnie śmiało mieszkać mogę w Warszawie. Dlatego też, zupełnie spokojnie ulokowałem się tu... u siebie... ku uciechy i radości mojej sarenki.

To mówiąc, śmiał się głośno. Chwycił żonę w pól i ciągnął ku sobie, lecz Franciszka odskoczyła na bok. Jej zmęczone pracą oczy, zaczerwienione od łez, wylewanych coraz częściej od chwili pojednania się z niegodziwcem, zwróciły się na niego błagalnie, jakby prosiły, by ją pozostawił w spokoju.

— Wesołą dozgonna moja towarzyszka nie jest — rzekł Bogajewski, potrącając żonę niemal brutalnie. — Najniewinniejszy żarcik do spazmów ją doprowadza. Za nic w świecie zgodzić się nie chce na żadną rozrywkę. Zaproponowałem jej kiedyś wyprawę łodzią na Saską Kępę; innym razem namawiałem, by wybrała się wraz ze mną na wyścigi... lecz uparta niewiasta odrzuciła obie moje grzeczne propozycje. Pani woli nadąsana siedzieć w domu!

— Wszakże muszę pracować!

— Ba, pracujesz, żeby zarobić dziennie pół rubla!

— Za pół rubla, którym pomiatasz, żyłam jednak lata całe od chwili, gdyś mnie porzucił.

— Czy to wyrzut?

— O, nie! Nic ci nie wyrzucam... nie mogę jednak chodzić z tobą na zabawy i spacer. Pracuję dla zakładu, zapewniającego mi byt i utrzymanie, nie chcę zatem przez nieakuratność i zaniedbanie stracić roboty... bo nie wiadomo, co stać się może w przyszłości.

— Widzę, że jesteś kobietą ostrożną!... Zastanów się jednak, że pracując w taki jak dotąd sposób, niszczysz oczy i marnujesz życie. Nie jesteś już ową śliczną Franią, którą niegdyś pokochałem. Zwiędłaś i zbrzydłaś. Spójrz na swoje palce. Co się z nimi stało? Od ukłuć igłą poczerwieniały i zgrubiały. Nie masz czasu uczesać się porządnie; perfum nie używasz wcale. Jak tak dalej pójdzie, staniesz się pożałowania godnym łachmanem...

— Och, wiem, że rok każdy dla mnie, jak dla żołnierza na wojnie, liczy się podwójnie, lecz mniejśza o to!... Nie chcę i nie będę żyć długo.

— Zdawało mi się jednak, że promieniałaś szczęściem na mój widok, gdyś mnie spotkała w Saskim ogrodzie. Czyżbyś już żałowała czasów, w których mieszkaliśmy na tem poddaszu sama?

Franciszka milczała.

Wzięła dziecinną koszulkę, leżącą na komodzie, a na której czerwonym jedwabiem cyfry wyhaftować miała; usiadła przy oknie i obojętna na toczącą się następnie między mężem a Jerzym rozmowę, pracowała pilnie, cicho i spokojnie, jakby w pokoju nie było nikogo.

Kiedy niekiedy Wielogrodzki rzucił na nią okiem. Wydawała mu się jeszcze piękną, a przynajmniej bardzo interesującą swą prostotą, pełną godności i dziwnej jakiejś powagi. W ciągu jednak długiej i przykrej dyskusji, jaka toczyła się między mężem i żoną, nie stanął w obronie udęczonej, bo jako egoista w każdym calu, pomyślał sobie: „Wszakże nie jej, lecz jego potrzebuję“.

Franciszka, pochylona nad robotą, pracowała pilnie i gorączkowo, żeby odzyskać czas stracony, od dnia bowiem przybycia Bogajewskiego na ulicę Ordynacką, zmuszoną była prawie nieustannie nim się zajmować i jemu ciągle usługiwać.

— Ponieważ marzysz — rzekł do niej ironicznie Bogajewski, przerywając na chwilę rozmowę z Jerzym — więc cię pozostawimy tutaj, a sami ruszymy na miasto... Powrócę prawdopodobnie dopiero o północy, lecz nie troszcz się o mnie. Mam klucz od mieszkania, możesz więc położyć się spać, kiedy zechcesz.

Wyszli.

Wtedy Franciszka zasłoniła twarz rękami i wy-

buchła głośnym płaczem. Człowiek, którego niegdyś tak bardzo kochała, który długo wydawał się jej dobrym i szlachetnym, a który jednak nikczemu ją porzucił — powrotem swym nagłym i już nieoczekiwanym, zamącił teraz jej ciche życie, narzucił się samolubnie, jak tyran domowy. Czy pozostanie przy niej na zawsze w szczupłym mieszkanku, w którym, pomimo samotności i opuszczenia, czuła się prawie szczęśliwą dopóki go nie było?... Wprawdzie ciężko pracować musiała, żeby zgodzić i zrównoważyć dochód z rozchodem, lecz nigdy nikomu nie była dłużną i nie niepokoiła się o przyszłość. Niestety, teraz o spokoju marzyć nie może. Ma pana bez litości; stała się jego niewolnicą. Łagodna i bierna, poddawać się musi jarzmu, w jakie egoista i grubianin wprzągnął ją z cyniczną bezwzględnością.

Odgłos kroków obu mężczyzn, zstępujących po schodach, ucichł naraz. Franciszka otworzyła okno i wyjrzała na ulicę. Jerzy z Bogajewskim szli ku Nowemu-Swiatu.

Wieczór był śliczny; jeden z tych cudnych u nas wieczorów, czerwcowych, gdy wiosna łączy się z latem, tworząc dziwnie przyjemną porę przejściową, jeszcze nie dokuczającą upałem, a przecież rozkosznie ciepłą. Kwitnące kasztany i czeremchy Saskiego ogrodu — ku któremu zdążyli Jerzy i jego towarzyszy — rozsyłały daleko w około upajająco aromatyczne wonie.

— Zatem fakt dokonany, masz znowu gniazdo rodzinne — rzekł młody człowiek do Bogajewskiego. — Nie wiem jednak, czy długo będziesz z niego zadowolony, zakuleś się bowiem w ciężkie kajdany.

— Och, skruszę je bez wahania, gdy się okażą niedogodnymi w moich interesach! Powiem ci zaś hrabio szczerze, że gdy powrócę do mieszkania w nocy, nie znoszę samotności. Nadto Frania oddaje mi niemałe usługi: czyści z rana ubranie, utrzymuje wzorowy ład w mojej garderobie i... przyrządza na obiad smaczne, wyśmienite, domowe potrawy, za którymi przepadam, a których za żadne w świecie pieniądze nie dostałbym w restauracji. Mam w niej tym sposobem bezpłatną gospodynię i kucharkę, która w lot spełnia każde moje życzenie.

Jerzy wybuchnął głośnym śmiechem.

— Dobrze, dobrze! śmiej się hrabio ile ci się podoba, bo nie wątpię, że i ty wkrótce się ożenisz... a gotów jestem rękę w ogień włożyć, że istota, którą pojmiesz sobie za małżonkę, będzie wychowanicą twojej ciotki.

— O, co to, to nie! Nie popełnię nigdy megaliansu. Wielogrodzki z Żarską ożenić się nie może.

— Z Żarską?... To ona zowie się Żarską?

— Czyż ci tego nie mówiłem?

— Nigdy w życiu! Nazywałaś ją zawsze Zosią, albo panną Zofią, a mnie nie przyszło na myśl zapytać o jej nazwisko. Więc powiadasz, że wabi się?...

— Zofia Żarska. Czemu tak na mnie patrzysz? Czy może znasz jej rodzinę?

— O ile mi się zdaje, nie... bo chociaż paru Żarskich spotykałem niegdyś w Warszawie i na prowincyi, lecz to nie mogli być jej krewni... Tylko... tylko, a propos tego nazwiska, przypominam sobie dramat, który rozegrał się przed ośmiu laty w jednym z domów przy ulicy Marszałkowskiej... nie! w Alejach Ujazdowskich...

— Dramat? w Alejach Ujazdowskich?... Czemu milczysz? Mów dalej!.. to, co mówisz, bardzo mnie interesuje...

Bogajewski przesunął ręką po czole, jakby tym ruchem chciał zbudzić dawne wspomnienia.

— Nie było mnie już wówczas w Warszawie. Wyniosłem się z naszego ukochanego miasteczka po angielsku, nie żegnając się z nikim... no! i umierałem z nudów w Krakowie, u jednej z moich ciotek, starej dewotki, która przyjęła gościnnie marnotrawnego siostrzeńca, ale gdy się jej naprzykrzyłem... a naprzykrzać się umiem... zaopatrzyła mnie w drobną monetę, paszport, bilet na okręt, wypływający z Tryestu i wyprawiła do Ameryki, gdzie miałem zaszczyt i przyjemność spotkać i poznać cię, kochany hrabio. Otóż, nudząc się straszliwie w Krakowie, czytywałem codziennie „Kuryera Warszawskiego“, który przez trzy miesiące z rządu, połowę swoich szpalt poświęcał sprawie zamordowania hrabiego Jelskiego... Jelski, znany mi z widzenia, był starym, nałogowym, niepoprawnym Don-Juanem, uganiającym się za szwaczkami, zamordował go zaś jakiś młody lekarz, który... to sobie doskonale przypominam... zwał się Żarski.

— Ba! mój drogi, i ja, chociaż młodszy od ciebie, dosyć często spotykałem różnych Żarskich. Jest to jedno z pospolicich i często powtarzających się nazwisk w Polsce.